

0 reformie nauki instytucjonalnej

31 października 2024

Dawno temu zdarzało się uczestniczyć w różnych dyskusjach o nauce instytucjonalnej oraz jej potencjalnych reformach. I przykładowo: na obozie naukowym w Serocku z innym członkiem kadry toczyłem taką dysputę. Jego zdaniem jedynym problemem w nauce instytucjonalnej były pieniądze. Innych natomiast nie dostrzegał. Nie potrafił spojrzeć, że jest to pewien system naczyń połączonych. Po pierwsze z jakiegoś powodu bardzo dużo młodzieży obecnie na uniwersytet trafia. Ponieważ abiturientów są wielkie rzesze, to ich poziom bardzo często jest niski. Zatem ciężko jest zadbać o dobrego rekruta na potencjalnego akademika, o doskonałego adepta sztuk, przy generalnie słabym systemie oświaty. Po drugie dochodzi kwestia wydajności biurokracji państwowej, gdzie koszty obsługi biurokratycznej są wyższe niż w socjalistycznej Szwecji (sic!), a sama biurokracja jest kilka razy liczniejsza niż w stanie wojennym. Tertio, dochodzi jeszcze kwestia wydajności gospodarki. Bez dobrze rozwiniętej gospodarki ciężko mówić o innych grantach i subwencjach niż państwowe. Nie ma bowiem innych podmiotów mogących fundować granty, posady uniwersyteckie czy całe katedry aniżeli państwo. A patrząc na nasze tak zwane elity biznesowe, one nie są zainteresowane w żaden sposób prowadzeniem prac badawczo-rozwojowych. Nie posiadamy własnego kapitału. Przytaczałem także przypadek Siemensu, jak to na uniwersytecie w Monachium był gotów zapłacić za doktorat przemysłowy, a materia pozornie dosyć abstrakcyjna – fizyka półprzewodników. Oczywiście, do mojego interlokutora to nie trafiało. On był dworzaninem na międzynarodowym instytucie w Barcelonie; albo zatem pewnych problemów nie widział, albo dostrzegać nie chciał.

Prawda jest bowiem taka, że wiele reform nauki instytucjonalnej można by dokonać równolegle albo dopiero po

przeprowadzeniu szeregu innych reform. Jeżeli dany gabinet nie jest zainteresowany poprawianiem stanu edukacji, eliminacją zbędnej biurokracji oraz rozwojem gospodarki; tym ostatnim może i bywał – jak Populizm i Socjalizm wraz z jego biurokratycznymi fantasmagoriami – ale nie jest to kierunek przez nikogo oczekiwany. Czasem potrzebny jest inny mecenas niż państwowy. I tutaj przytoczę pewien fakt. Była taka włoska neurolog i neurobiolog, Rita Levi-Montalcini. Prowadziła ona badania na jak najbardziej państwowym uniwersytecie, ale z racji pochodzenia (była zasymilowaną Żydówką) w 1938 roku musiała zrezygnować z posady uniwersyteckiej; wtenczas Mussolini, wzorując się na Niemczech, wprowadził ustawy antysemityczne. Znalazła prywatnego mecenasa, który opłacił do końca prowadzone przez nią badania. Zaowocowały one odkryciem NGF, neuronalnego czynnika wzrostu, a później nagrodą Nobla w dziedzinie medycyny i fizjologii. Gdybyśmy zatem mieli normalny stan gospodarki, możliwe, że wiele badań dałoby się przeprowadzić, gdyby tylko istnieli ludzie, których można do czegoś przekonać. W przypadku edukacji – nazwijmy ją niższą – no ma ona niski poziom i bardzo często pierwsze dwa lata studiów służą nadrabianiu braków. A czasem od tego są pierwsze dwa miesiące. Kiedy bowiem zaczynałem studia – a rozpoczynałem je w gmachu Geologii – to szybko niektórzy się przekonali, że jak nie nauczą się albo nie przypomną sobie matematyki, fizyki i chemii na pewnym poziomie, to w styczniu pożegnają się ze studiami. Po trzecie, akademia z racji wysokiego poziomu upaństwowienia przejmuje wiele nawyków biurokratycznych. I pamiętam, jak jeszcze przed studiami miałem okazję wysłuchać przemowy jednego z profesorów z IIMCB (Międzynarodowy Instytut Biologii Molekularnej i Komórkowej). Siedziałem sobie wówczas w budynku na warszawskiej Ochocie, no i usłyszałem, że ponad 60% wydatków w polskiej nauce, to jest obsługa biurokratyczna. Oczywiście, w takie rzeczy ciężko uwierzyć, kiedy się ich nie zobaczy. Ponieważ na studiach miałem okazję bywać na Krakowskim Przedmieściu, widziałem, jakie tam armie biurokratów siedzą; wówczas przekonałem się, że jest to prawda. I mówię tutaj o okresie, kiedy Kudrycka zaczęła

szaleć. Mniemam, że po ministrze Góv... przepraszam... Gowinie (ta kreatura jednoznacznie mnie się kojarzy) są one jeszcze większe.

I wobec powyższych oraz logistycznych trudności w reformowaniu wielu sfer działalności państwa jednocześnie należy przyjąć pewne bardziej ostrożne założenia. W jednym ze swoich wcześniejszych tekstów – konkretnie w Bezczelności akademii – wymieniałem autorów sugerujących rozdział nauki od państwa. Niemniej jednak wobec skomplikowania całego państwa nie jest to takie proste i wykonalne. Sam nie byłbym aż tak maksymalistyczny i sądzę, że wykonanie takiego planu – postulowanego przez niektórych konserwatystów czy libertarian – jest niestety utopią. Stąd należy się skupić na kwestiach bardziej realistycznych.

Na początek, kwestia abiturientów. Dlaczego oni są słabi? Wychodzą bowiem po szkoleniu jak psy Pawłowa do rozwiązywania testów standaryzowanych. Te nowe matury w żaden sposób nie przygotowują do studiowania czy rozwiązywania jakichkolwiek problemów. Nie są w żaden sposób życiowe ani praktyczne. W dodatku od 2006 roku płaci się za przyjmowanie studentów. Taki skalp żaka kosztuje dwa tysiące złotych za semestr. Stąd wiele wydziałów po tamtym pamiętnym roku spuchło. Przykładowo Geologii opłacało się przyjmować ponad trzysta studentów na pierwszy rok, żeby po pierwszym semestrze odpadła z nich połowa. Na Biologii natomiast przyjęto wariant bardziej liberalny z punktu widzenia tamtejszego gnuśnego żaka. Otóż, przyjmowano na trzy kierunki również około trzystu osób, a następnie starano się ich nie uwaląć, aby pieniądze płynęły. Wielu studentów stamtąd i tak odchodziło na medycynę, farmację, weterynarię czy dosłownie gdzie indziej; znałem nawet osoby, które uciekły stamtąd na akademię sztuk pięknych czy kognitywistykę. Przez zieloną budę na Miecznikowa potrafiło przewalać się tysiąc studentów, ale i tak to nie był taki moloch jak analogiczny wydział w Łodzi; tam liczby były jeszcze więcej, a kierunków było także więcej.

Oczywiście słabość abiturientów też jest w cenie. Głupi studenci bowiem nie zagrażają lokalnym szajkom, nie zastanawiają się dużo, jak to wszystko wokół nich jest urządzone. Chodzą jak do szkoły. Są również wygodni dla wielu promotorów, jako osoby mało ambitne i niestawiające żądań. Stąd dla mas wyleniałych pracowników akademickich taki układ to jest żyć nie umierać. Najpierw się marudzi, że abiturienti są marni. Rektorzy szaty rozzdzierają, nawet w publicznej telewizji. Tylko że to jest teatr dla ubogich. Oni tak naprawdę z tego wszystkiego się cieszą.

Rozwiązaniem pierwszego problemu jest w ogóle rozdzielenie matury od przyjęcia na studia. Matura jest egzaminem mającym na celu sprawdzenie, jak dobrze dany człowiek będzie funkcjonował w pracy o charakterze urzędniczym, etatowym. Natomiast studia są czymś zupełnie innym. Przez stulecia też były czymś innym. Oczywiście, gwarantowały dostęp do pewnych kręgów, łatwiej się było załapać na niektóre stanowiska, ale nie mniej tworzyły ludzi mających o czym ze sobą rozmawiać, mających wspólny język. Stąd powinno się wrócić do egzaminów na studia. Aby przystąpić do takiego egzaminu, nie należałoby wymagać żadnych dokumentów ukończenia wcześniejszych etapów edukacji. Bo i po co? Czyż zdolny samouk nie jest w stanie dostać się na studia w wieku szesnastu czy siedemnastu lat. Poza tym mieliśmy przypadki wybitnych naukowców, co nie mieli matury. Justus von Liebig, jeden z ojców badań mineralnego odżywiania się roślin, człowiek, który dowiódł, że ciała roślin i zwierząt składają się z tych samych pierwiastków, nie posiadał takiego świstka. Albert Einstein jest jeszcze bardziej dobitnym przykładem. Nie mniej egzaminy powinny być ciężkie i wymagające. To pozwoliłoby nie tracić czasu na pierwszym roku na robienie w sumie przedmiotów powtórkowych czy prowadzenie zajęć wyrównawczych. Jeżeli dana osoba zdała egzamin na przykład na studia techniczne, jest w stanie liczyć całki, więc zaczynamy kurs matematyki od mniej więcej tych narzędzi matematycznych, a nie tracimy semestr na pochodne i tak zwany wstęp do analizy (granica ciągu, granica

funkcji).

Po drugie trzeba zrezygnować z chorej polityki płacenia uniwersytetom za przyjmowanie na studia. Tego typu polityka dyskryminuje prywatne uczelnie, które takiego zaszczytu nie dostępują. A po drugie dany wydział czy inna jednostka byłaby w stanie sama oszacować, ile może mieć studentów na pracowniach licencjackich czy magisterskich. Rozważyć należy natomiast płatność za studia. A to z prostego powodu. Dlaczego na przykład student dzienny ma być inaczej traktowany niż wieczorowy, zaoczny czy korespondencyjny? I nie mówię, żeby te opłaty były jakieś astronomiczne. Państwowa sieć uczelni powinna ustalić pewien statut, gdzie zostałyby te kwestie rozwiązane – ile ma na przykład płacić student matematyki, student historii, student medycyny czy prawa.

Dlaczego piszę o państwowej sieci uniwersytetów. Powinno się bowiem skończyć z takim wytrychem i uciekaniem od odpowiedzialności, jakim jest tak zwana wolność akademicka. Jak może w ogóle coś takiego istnieć, skoro uczelnie są w stu procentach opłacane przez państwo?! Przecież to nonsens. Ponieważ państwo płaci sto procent na uczelnie publiczne, to powinno się zrezygnować z tego. Wywalić się powinno wszystkie komisje dyscyplinarne i bioetyczne. Przecież są pewne przepisy kodeksu cywilnego, kodeksu prawa pracy, a także ustawa dotycząca dobrostanu zwierząt; wobec powyższych istnienie takich tworów jest kompletnie zbyteczne. Poza tym pracownik akademicki powinien się liczyć z tym, że po uzyskaniu stopnia doktora, może na przykład zostać przeniesiony z Warszawy do Gdańska czy vice versa. Jakoś w innej robocie nie ma marudzenia, tylko albo bierzesz daną fuchę, albo won. Jeżeli się nie podoba, to możesz pan czy możesz pani zatrudnić się na uczelni prywatnej. Tylko w akademii jest takie pieszczczenie się i wycieranie sobie rzydzi wolnością akademicką. Dodam, że akademicy bardzo są oburzeni, jak się im wypomina fakt, iż są w stu procentach finansowani przez państwo. Podobnie jak im się mówi o konsekwencjach takiego stanu; jak to normalnie

powinni móc potupać sobie nóżką.

Wspomniany statut powinien regulować kwestie związane z przebiegiem studiów, przebiegiem obron poszczególnych tytułów, kwestie płatności za poszczególne kierunki studiów. Jeżeli pewne rzeczy nie zostały zawarte ani w prawodawstwie dotyczącym studiów wyższych (taka ustawa może się powinna zawierać na jednej dwóch kartek A4), ani w statucie, to mamy, co nie zabronione, to dozwolone. W tych kwestiach nieuregulowanych dana uczelnia może wprowadzać swoje regulacje.

Później, dużo się mówi o fakcie rezygnacji z jednolitych studiów magisterskich. Rozmawiałem z człowiekiem z Sosnowca, z wydziału geologicznego, twierdzi, że to tylko zwiększyło ilość obowiązków administracyjnych; zarówno dla niego, jak i dla jego studentów. Podobnie też niektórzy moi starsi koledzy twierdzili: całe szczęście, że załapaliśmy się na jednolite. U nas studia jednolite wynikały z przyjęcia niemieckiej i austriackiej tradycji akademickiej. Tam stopnie były: magister, doktor, doktor habilitowany. Mamy jeszcze pewne pokłosie tradycji rosyjskiej, gdzie zamiast tych też były trzy: bakałarz, magister i doktor. Lecz w tradycji uniwersyteckiej, sięgającej jeszcze wieków średnich, zawsze były dwa stopnie na studiach. Pierwszy się nazywał trivium, a drugi quadrivium. To przetrwało w krajach anglosaskich i romańskich. Tylko że oczywiście u nas zabrano się za to bez głowy. Trzyletni licencjat jest zdecydowanie za krótki, aby mógł być traktowany poważnie; w Wielkiej Brytanii, USA czy Francji ów etap studiów trwa cztery lata. Taką długość się powinno przyjąć również u nas w naszych realiach. Skrócenie do trzech lat pierwszego etapu studiów doprowadziło do obniżenia poziomu. Przykładowo: geolodzy marudzili, że wywalono na przykład z ogólnego etapu kształcenia wiele przedmiotów, a przeniesiono je na specjalności. Z kolei biolodzy często mówili, iż po dwóch latach dawniej obierano specjalność, można było dalej już rozmawiać o kwestiach bardziej szczegółowych. A

tak wszystko ulega rozmyciu. Niemniej jednak w przypadku nauk ogólnoakademickich pierwszy stopień powinien trwać cztery lata, jeżeli rozmawiamy o politechnicznych czy agrotechnicznych, to cztery i pół roku. Drugi stopień – to quadrivium, magisterskie, powinien trwać dwa lata.

Oczywiście mówię tutaj o uczelniach publicznych, państwowych. To są kwestie, jakie winny być zawarte w statucie uczelni publicznych. Natomiast jeżeli chodzi o prywatne, to one musiałyby zachować podział na tytuły – określony ustawowo, natomiast już długość poszczególnych etapów byłaby ich sprawą. Jeżeli na przykład Uniwersytet SWPS czy Uczelnia Łazarskiego uznałyby, że są w stanie licencjata wyprodukować w dwa czy trzy lata, to już problem osoby składającej dokumenty na taką uczelnię. W końcu przyznać należy, że *volenti non fit iniura*.

Poza tym jeszcze dochodzimy do kolejnego absurdu. Stopnie uzyskiwane na studiach mają być tytułami akademickimi, a nie zawodowymi. Jest nonsensem powielanym od 1956 roku przez każdą jedną ustawę o szkolnictwie wyższym, iż magister to stopień zawodowy. Przepraszam bardzo, to jest uczelnia, tu są stopnie akademickie. Wobec tego powinna panować troska o ich poziom. Obrona każdej jednej pracy dyplomowej powinna się odbywać publicznie, tak samo każda jedna praca dyplomowa powinna mieć zewnętrznych recenzentów. W rozumieniu spoza uczelni macierzystej. Nie ważne, czy to jest licencjat, magisterium czy doktorat. Tu chodzi o dbałość o tytuły akademickie oraz ich poziom. Dochodzimy tutaj do jeszcze jednej kwestii, jak padło słówko „doktorat”.

Skończyć trzeba ze studiami doktoranckimi. Jest to wymysł sowiecki, jaki w resztkach trzeźwości umysłu towarzysz Gomułka odrzucił w 1957 roku. Później powróciły do nas w latach pięćdziesiątych na fali okcydentalizmu. Co z kolei w krajach zachodnich, studia doktoranckie stanowiły wymysł zimnowojenny, związany z umasowieniem oświaty wyższej, forsownie prowadzonej w tamtych czasach. Jak to powinno

natomiast wyglądać? Absolwent studiów wyższych powinien udać się na asystenturę, a po roku albo dwóch zdecydować się na temat rozprawy doktorskiej. Później powinien mieć na realizację doktoratu osiem lat. Akurat pod tym względem prawodawstwo PRL zachowało resztki zdrowego rozsądku, czego ciężko oczekiwać po czasach nam obecnych. Nieraz się mówiło, że doktorat w czasach współczesnych ma poziom kiepskiej magisterki sprzed dwudziestu czy trzydziestu lat. I nie należy się temu dziwić, ponieważ podczas doktoratu realnie poświęca się na jego wykonanie w ciągu tych czterech czy pięciu lat pół roku. Reszta to użeranie się z administracją oraz z szeregiem druczków, a także odrabianie dydaktycznej pańszczyzny. Wobec tego nie należy się dziwić, że większa część doktoratów jest do niczego lub wręcz pozbawiona jest sensu.

W tym momencie dochodzimy też do kwestii, jaka wielu boli. Otóż należy zlikwidować habilitację oraz profesurę belwederską. Są to bowiem relikty stalinizmu. Jedynym celem centralnie sterowanej habilitacji oraz państwowej profesury (nadawanej wtedy przez premiera, a obecnie przez prezydenta) była centralizacja nauki oraz jej upolitycznienie. I nic więcej. Tak to te tytuły pozbawione są sensu. Habilitacja jest reliktem niemczyzny, wyciągniętym w tamtym kręgu kulturowym w wieku dziewiętnastym; bo co zrobić, jak na katedrze będzie dwóch profesorów. Stąd w Niemczech czy Austrii były habilitacje. Anglicy, Francuzi, Włosi czy Hiszpanie jakoś się obeszli bez tego wymysłu. U nas również powinien on zostać zniesiony. A profesura belwederska; no cóż, nasz prezydent Długopis mógłby na przykład mianować Kota Prezesa profesorem i nie można by nic z tym zrobić.

Również w naszym świecie akademickim istnieje przyzwolenie dla frywolnego panoszenia się humanistów. Te wydziały są zazwyczaj największymi fabrykami bezrobotnych, a jednocześnie stanowią prawdziwe wylęgarnie wszelkiej maści lewactwa. Tutaj naprawdę nie potrzeba wielkich zmian w prawie, tylko stanowczego

działania ministra. Większa część wydziałów humanistycznych powinna zostać zlikwidowana. Po co na przykład taki twór jak Artes Liberales, który jest tworem dyletantów strojących się w akademickie dystynkcje? Do wywalenia. Japończycy – a konkretnie premier Shinzo Abe – potrafili sobie poradzić z przerostem humanistyki. A ten nie jest ani oczekiwany, ani potrzebny. W dodatku szereg tych dyletantów nic nie robi. Znałem na przykład takiego pana, który zajmował się początkowo fantasy, Tolkienem konkretnie. No to jeszcze mogłoby być jakkolwiek ciekawe. Ale później wolał zająć się grami komputerowymi. Czy my jako podatnicy chcemy utrzymywać taką jednostkę z naszych pieniędzy? (Z emfazą na naszych). Nikt nikomu nie broni parać się takimi zagadnieniami w wolnym czasie, pisać sobie bloga et cetera. Ale dawanie na tak bezpłodną radosną twórczość publicznych pieniędzy jest skandaliczne.

To wszystko są rzeczy, które można zrobić bez patrzenia się na holistyczne reformy państwa. Niemniej jednak warto zwrócić uwagę jeszcze na dwa aspekty. Czy państwowych uniwersytetów nie mamy za dużo? Wedle niektórych danych mamy więcej publicznych uczelni niż wielkie, półtoramiliardowe Chiny. I popatrzmy, czy na przykład jest sens utrzymywania wegetującego uniwersytetu w Radomiu (zresztą, uniwersytetu li tylko z nadania politycznego). Czy oddzielne uczelnie w Kielcach, Zielonej Górze, Białymstoku mają jakkolwiek sens, poza tym, że lokalni profesorowie założą sobie gronostaje? Czy odrębne akademie medyczne też mają sens? Odpowiedzmy sobie na te wszystkie pytania. Część uczelni jak UKSW czy KUL należałoby przekazać Kościołowi z racji tego, że on był poniekąd ich założycielem. Byłaby to forma spóźnionej repywatyzacji. W przypadku takich tworów jak niesławny radomski uniwersytet (będący najgorszą uczelnią publiczną w Polsce) należałoby zostawić z niego to, co da się ratować, a resztę zamknąć i zlicytować. Kielce powinny być filią Krakowa (podobnie zresztą jak Rzeszów), Zieloną Górę powinno dać pod Wrocław, Szczecin pod Gdańsk, a Białystok pod Warszawę. Dodałbym rzecz jeszcze

jedną. W sporym mieście, acz wyludniającym się, w Łodzi, istnieje kilka uczelni publicznych. Rozmawiałem z ludźmi stamtąd, to słyszałem, że na tamtejszym uniwersytecie poza biologią, prawem czy historią to wszystko inne jest do wycięcia i do likwidacji. Zatem sprawa jest prosta. Łódzkie uczelnie również powinny zostać przeobrażone w filie, a przy okazji niepotrzebne wydziały i jednostki winny być zlikwidowane. Jest to przykre, ale prawdziwe. Jeżeli chodzi o uczelnie medyczne, to jest to wymysł sowiecki wdrożony w Polsce po 1947 roku. Tylko w Krakowie i w Toruniu udało się przywrócić normalność. Gdzie indziej stanął mur medycznych akademików, jaki nawykł do złotych łańcuchów i gronostajów. A powinny być wydziały medyczne i koniec. A jeżeli chcą sobie tworzyć prywatne uczelnie o charakterze stricte medycznym, to droga wolna. Już wspominałem wcześniej, że nullum crimen sine lege. Nie można grupie profesorów medycyny czy lekarzy zabronić utworzenia swojej prywatnej uczelni, zwłaszcza, że oni akurat jako grupa zawodowa mogą odpowiednimi środkami ku temu dysponować. Dodać również należy do tego akapitu i tego wątku, iż państwowe uczelnie ekonomiczne nie mają sensu. Miejsce ekonomii jest na wydziale prawa. A te wszystkie uczelnie pokroju SGH-ów, Akademii Ekonomicznych należy sprywatyzować. (Zresztą, SGH tak był genialnie zarządzany przez guru ekonomii Balcerowicza, że jest na krawędzi bankructwa; guru, aby być w zgodzie ze swoimi przekonaniem, winien poprzeć pomysł prywatyzacji).

I w ten sposób dochodzimy jeszcze do innej kości niezgody. Mianowicie PAN. Państwowa Akademia Nauk, zazwyczaj skracana do Polska Akademia Nauk. Tego typu twory są relikdami postkomunistycznymi występującymi w dawnych krajach Bloku Wschodniego. Przed wojną takiego nowotworu Polska nie zaznała. Były natomiast jednostki takie jak Polska Akademia Umiejętności, która posiadała szereg instytutów i muzeów w Krakowie i we Lwowie, a także swój własny rezerwat w Beskidzie Żywieckim (później przekształcony w Babiogórski Park Narodowy). W Warszawie było Towarzystwo Przyjaciół Nauk, jak

najbardziej prywatna instytucja, która miała między innymi Instytut Nenckiego, Wszechnicę Polską (prywatną uczelnię), a także stację naukową nad jeziorem Wigry. O tej ostatniej należy się też opowiedzieć, jak różni się mentalność ówczesnego człowieka nauki od współczesnego nam akademika. W 1938 roku stację nad Wigrami wizytował prezydent Mościcki. Zaproponował on wówczas Alfredowi Lityńskiemu, kierownikowi tego obiektu, nacjonalizację. Lityński – pomimo pewnych sympatii socjalistycznych – stwierdził, że to nie jest dobre rozwiązanie, doprowadzi tylko do administracyjnego koszmaru. Poza uniwersytetami nauka w Polsce w okresie przedwojennym była w dużej mierze zarządzana przez prywatne stowarzyszenia jak wyżej wspomniane. W Niemczech do tej pory działają organizacje non-profit zarządzające szeregiem placówek badawczych jak Instytuty Maxa Plancka, Fraunhouffera czy Boltzmann. Taki model jest zwyczajnie zdrowszy. Skoro PAN jest i tak państwem w państwie, to można by im zaproponować, a weźcie to sobie, nawet za przysłowiową złotówkę. Subwencję państwową otrzymacie, ale tak to musicie radzić sobie samemu. No i już trudno, jeżeli stare zgredy zbankrutowałyby połowę tych instytutów; albo by organizacja zdechła, albo stanęłaby na nogi. Tak należy rozwiązać kwestię PAN, tego reliktu stalinizmu, a nie tak jak niesławny minister Czarnek; powołując jakąś Akademię Kopernikańską. Po co mnożyć byty ponad potrzebę?

Powyższe postulaty są jak najbardziej realizowalne. W dodatku dokopanie akademikom nie spotkałoby się dla żadnej partii politycznej z większymi reperkusjami. Gdyby na przykład PiS zdecydował się na wdrożenie chociażby części z tych postulatów, to antyinteligentki elektorat tej partii byłby wręcz wniebowzięty. Akademicy są bardzo wygodnym celem do wszelkich cięć budżetowych. Oczywiście, oni sobie z tego sprawy nie zdają, widząc w sobie pępek świata. Tylko niech się zastanowią. Co jest potrzebne do istnienia państwa? I czy oni są potrzebni? Może niektórzy politycy się boją swoich kolegów – przykładowo prezydent Długopis na pewno obawia się gniewu na

macierzystym wydziale prawa. Nie mniej oni sami powinni wiedzieć, że dokonanie reformy akademii jest rzeczą stosunkowo prostą. W takim wymiarze jak wyżej zarysowany, który oczywiście nie wymaga większych zmian strukturalnych państwa oraz prawa w nim panującego. Istnieje mnóstwo rzeczy, których likwidacja bądź chociażby optymalizacja byłaby bardziej kłopotliwa.

Brak podjęcia takich kroków pokazuje, jak mierni i leniwi są nasi politycy. Nie bez kozery ministrem od spraw nauki zostaje zazwyczaj jakaś powsinoga pokroju Gowina czy Czarnka. Pokazuje to, na jakim końcu priorytetów są dla polityków kwestie nauki. Jednocześnie to nie sprzyja żadnemu rozwojowi. Prowadzi tylko do tego, że setki milionów, jeśli nie miliardy złotych, wydawane są na przykład na nikomu niepotrzebne wydziały i zakłady humanistyczne. A na pewno mogłyby zostać wydane lepiej, z pożytkiem dla nas wszystkich.

Autorstwo: Erno

Źródło: WolneMedia.net